

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Zagadnienie irracjonalne.

T. zw. pakt wschodni, z którego inicjatywą wystąpiły Sowiety, należy uważać za doniosły wypadek polityczny. Formalnie wspomniany pakt stanowi niejako uzupełnienie paktu Brianda—Kelloga, na co wskazuje wyraźne sprecyzowanie pojęcia napastnika, pominiętego w tamtym pakcie. Poza tem oficjalnem znaczeniem nie trudno jednak dopatrzeć się w pakcie wschodnim momentów ściśle politycznych.

Przedewszystkiem uderza okoliczność, iż pakt podpisały państwa Wschodniej Europy, co dało prasie berlińskiej asumpt do komentowania paktu, jako skierowanego przeciwko Niemcom. Istotnie nie ulega wątpliwości, iż podpisanie paktu nastąpiło w związku z wypadkami w Niemczech i coraz jawniej i głośniejszymi manifestowanymi przez polityków niemieckich tendencjami szerokiej ekspansji na wschód. Poza tem znamieną jest zmiana zasadniczego stanowiska Rosji Sowieckiej w kwestji Bessarabji oraz coraz bardziej zacieśniające się zbliżenie pomiędzy Sowietami a Polską, zapoczątkowane przed kilku miesiącami podpisaniem przez te dwa państwa paktu o nie-agresji.

Zbliżenie to przybiera formę prawdziwej *entente cordiale*, nie pozbawionej zresztą momentów humorystycznych, do których należy zaliczyć wizytę w Polsce znanego publicyście komunistycznego, byłego esdeka polskiego Karola Radka, swego czasu traktowanego przez prasę polską *en canaille*, obecnie zaś podejmowanego przez czynniki półrządowe z wielką ostentacją, a niemal serdecznie.

Satyryk miałby tu wdzięczny temat do popisu, ale polityk niczemu się nie dziwi, nawet najbardziej nieoczekiwanym zwrotom i przeobrażeniom, gdyż wie dobrze, iż nastroje społeczeństwa i t. zw. opinia

publiczna są to bańki mydlane, puszczone przez umiejętnych inspiratorów.

Przecież te same żywioły, które tyle nadziei pokładały w koncepcji Piłsudskiego z czasów wyprawy kijowskiej i które uważały taką właśnie linię polityczną za jedynie zbawienną dla Polski, obecnie pogodziły się dość łatwo z kompletnem jej przekreśleniem i całkowitą zmianą frontu, oznaczającymi właściwie triumf ideologii endeckiej. Imperjalistyczne „Słowo” powitało tę nową orientację w polityce zagranicznej polskiej przynajmniej z pewnem skrzywieniem i nieukrywanem rozczarowaniem, ale federalistyczny „Kurjer Wileński” nie zdobył się nawet na najłżejszy akcent krytyczny.

A wszakże nowa ta orientacja przypieczetowana paktem wschodnim, to nie tylko rezygnacja z aspiracji mocarstwowych Polski, to nie tylko stabilizacja na długi czas układu terytorjalnego na wschodzie Europy, pośpiesznie narzuconego przez traktat ryski, ujemne strony którego w nikim bodaj dziś nie budzą wątpliwości, ale to w pierwszym rzędzie ogromne wzmocnienie stanowiska Rosji Sowieckiej, jej prestiżu w Europie i jej wpływów. Dość rzucić okiem na wygląd zewnętrzny paktu wschodniego, by się przekonać, że punktem centralnym jest w nim ZSSR, niby słońce, wokół którego krąży szereg planet—państw i państwów, poczynając od egzotycznych Persji i Afganistanu, a kończąc na młodych republikach Łotwie i Estonji. Dominująca pozycja Rosji Sowieckiej jest zrozumiała ze względu na jej obszar, biorąc pod uwagę jednakże genezę paktu, musimy stwierdzić, że to pierwszeństwo ma charakter nie tylko materialny, ale i moralny, że Sowiety potrafiły zapewnić sobie rolę kierowniczą.

Z sąsiadów sowieckich paktu wschodniego nie podpisały Finlandja i Japonja. Nie podpisała go również Litwa, nie dlatego, że nie posiada granic bezpośrednich z Rosją Sowiecką, lecz wyłącznie z po-

wodu klauzuli, dotyczącej terytorjum, która głosi, że terytorjum, należące de facto do danego państwa, uznawane jest za jego własność bezsporną przez wszystkich sygnatariuszy paktu. Podpisując więc pakt wschodni Litwa tem samym uznałaby de jure przynależność Wileńszczyzny do Polski, czego oczywiście uczynić nie mogła. Litwa podpisała z Sowietami osobny pakt, który odpowiada swą treścią paktowi, podpisanemu przez inne państwa, lecz nie zawiera wspomnianej klauzuli terytorjalnej.

Podobno wielką sensację wywołało w Kownie oświadczenie francuskiego „Petit Journal”, że uregulowanie zatargu angielsko sowieckiego i podpisanie paktu wschodniego każą się spodziewać polepszenia stosunków polsko-litewskich i wogóle odprężenia w Europie wschodniej. Odnosny ustęp artykułu „Petit Journal” wysuwa zwłaszcza litewska prasa opozycyjna. Z artykułu tego nie wynika jednak, w jaki sposób dziennik francuski wyobraża sobie rozwiązanie sprawy wileńskiej, co do której zaledwie przed paru tygodniami prezydent Republiki Litewskiej raz jeszcze tezę litewską w sposób stanowczy podkreślił.

Do tego rodzaju informacji z reguły należy się odnosić z wielką nieufnością, gdyż są one oparte zwykle na teoretycznych przypuszczeniach, najczęściej mylnych, bo operujących szablonowymi przesłankami. Tymczasem kwestja wileńska jest zagadnieniem o cechach zgoła odrębnych, specyficznych. Żadne zmiany konjunkturalne ani posunięcia dyplomatyczne wpływu na nią mieć nie mogą, gdyż jego treścią istotną jest nie *interes*, będący najczęściej podłożem wszelkich sporów międzynarodowych, lecz *sentyment*, a więc czynnik irracjonalny.

Dlatego też od samego początku konfliktu polsko-litewskiego z głębokim sceptycyzmem traktowaliśmy takie próby jego rozstrzygnięcia, których myślą

przewodnią były zimna kalkulacja i wyrachowanie. Wszelkie wysiłki trzeźwych polityków i najbardziej pomysłowe kombinacje dyplomatów nic nie poradzą tam, gdzie uczucie zagłusza głos rozsądku. Drogi do porozumienia leżą nie w płaszczyźnie rozumowej, lecz w emocjonalnej. Kompromis może być wynikiem wyłącznie odprężenia psychicznego po obu stronach.

I tu wypada nam powtórzyć to, o czym twierdzimy stale i niezmiennie. Decydujący wpływ na rozwiązanie kwestji wileńskiej będą miały nie jakiegokolwiek układy i konszachty dyplomatyczne, nie te lub owe posunięcia polityków odpowiedzialnych w Warszawie i Kownie, lecz postawa Wilna z chwilą, gdy w miejscowym społeczeństwie, biernem dotychczas i nie zdolnym do samodzielnego czynu, dojrzeje świadomość swego upośledzenia, swych błędów i zrozumienie własnych interesów. Wilno będzie musiało kiedyś wystąpić z inicjatywą.

Zapewne jest to długa i powolna droga. Tak mało w tym kierunku się robi, a i to, co się robi, spotyka się z lekceważeniem. A jednak nie widzimy innego wyjścia z obecnego impasu. A co ważniejsza, nikt inny również nie umie jego wskazać.

Nasza wieś w przekroju i perspektywie.

III.

Rozważania moje, na temat „perspektywy” naszej wsi, doprowadzić mogły do wniosku, że sytuacja jest tak beznadziejna, iż tylko jakieś nadzwyczajne okoliczności coś w tym, wciąż pogarszającym się stanie, mogłyby zmienić na lepsze. Nie pragnę bynajmniej być prorokiem jakiejś zbliżającej się ka-

ST. STANKIEWICZ.

Przyroda nadniemeńska w utworach Elizy Orzeszkowej.

IV.

Stosunek uczuciowy, jaki łączy Orzeszkową z przyrodą białoruską, najsilniej uwydatnił się w jej opisach Niemna. Nad Niemnem Orzeszkowa się urodziła, z nim się żyła w czasach późniejszych, on był świadkiem jej marzeń i powiernikiem myśli, do niego tęskni autorka całą duszą, kiedy pisze potem: „Trzymam w rękę puhar, garncem gorzkości i kroplą słodkości nalany, któremu na imię: życie. Z zaścian puharu rubinowych, operlonych, rozmigotanych, czy omglonych, objawiasz mi się błękitny, jasny, zupełny, o Niemnie! — bo tęsknię po tobie!”

Opisy Niemna znajdujemy w wielu utworach Orzeszkowej. Akcja pierwszej jej większej powieści p. t. „Ostatnia miłość” rozgrywa się nad malowniczym brzegiem Niemna w okolicach Druskienik, tuż koło ujścia Rotniczanki, Obok wielu opisów znajdujemy w tym utworze bardzo typowy obrazek Niemna i jego okolic, ukazany naszym oczom z pe-

wnego oddalenia. Obraz ten jest ukazany przez mgłę lekkiego smutku i melancholji, co odpowiada ściśle głównemu charakterowi białoruskiego krajobrazu. Oto ten obraz:

„Niemen, wąski w tem miejscu i zamknięty w wysokich, stromych porośniętych lasami brzegach. Od Niemna około góry biegły większe i mniejsze parowy, ze ścianami, najeżonemi karłowatą sośniną, lub gładkimi i lśniącymi białym piaskiem. Ich dno rzeźbiło się siatką wążiuchnych i ze szmerem płynących do Niemna strumyków. Na równinie poza białą drogą rysowały się szare wsie a poza Niemnem rosły dębowe i sosnowe lasy, wysokie, ciemne, gęste... jak wzrokiem sięgnąć, widać było tylko czarną i szumiącą ścianę drzew, mającą u stóp błękitny Niemen, a szczytem tonącą w błękitnych obłokach”.

Niemen mamy stale przed oczyma w krótkim obrazku p. t. „Echo”. Nad Niemnem rozgrywa się akcja powieści „Cham” i „Anastazja”. Jednak w całej swej okazałości wystąpiła ta rzeka w dwutomowej powieści p. t. „Nad Niemnem”. W „Chamie” daje Orzeszkowa malowniczy obraz Niemna w czasie wiosennej powodzi, kiedy rzeka wygląda, „jak nieścigniony szlak płynącego srebra, okryty żeglującymi po nim taflami, pagórkami, domkami z kry-

tastrofy, któraby miała pochłonać naszą wieś. Uważam jednak, że trzeźwy pogląd na rzeczywistość, nawet bardzo nieprzyjemną, jest o wiele lepszy, niż pogrążanie się w beztroskim optymizmie, który tak znakomicie cechuje obecnych kierowników naszej nawy polityczno-gospodarczej.

Zapewne, prąd życia wiejskiego jakieś ujście dla siebie znajdzie. Odnaczająca się dużą plastycznością i wypróbowaną już przez lata zdolnością przystosowywania się do rozmaitych warunków — wieś nasza — ułoży jakoś swoje bytowanie. Chodzi jednak o to, jakie czynniki wpływać będą na formowanie wiejskich stosunków.

W swoich uprzednich rozważaniach podkreśliłem dwa momenty: 1) wzrastającą tendencję drobnienia się gospodarstw włościańskich, wraz z objawem przeludnienia wsi oraz 2) fatalny brak normalnego ujścia dla narastającej ludności wiejskiej. Wykazałem również, że ani obowiązująca ustawa o reformie rolnej (zresztą obecnie unieruchomiona) — ani też jakaś nowa, nawet najradykałniejsza, nie mogłaby całkowicie pomyślnie zagadnienia agrarnego u nas załatwić i wpłynąć decydująco na ustabilizowanie się stosunków w tej dziedzinie. O reformę rolną — nie negując jej ewentualnych wpływów na nasze stosunki — dlatego potracam po raz drugi, że hasłem tem upraszcza się chętnie trudny problem agrarny, widząc w niej jakieś panaceum na wszelkie agrarne dolegliwości i komplikacje. Cyfry nam jednak wykazują, że już w stanie obecnym nie jest to środek radykalnie uzdrawiający.

W związku z reformą rolną należy tu poruszyć kwestję komasacji, o której też nieraz słyszy się opinię, jako o akcji, rozwiązującej pomyślnie wiele zagadnień agrarnych. Wydaje się jednak, że na akcję komasacyjną patrzy się u nas przez stołypinowskie okulary. Tymczasem warunki się bardzo zmieniły i czasy nie są wcale podobne. Komasacja aby mogła dać wybitnie pomyślne rezultaty, musi mieć sprzyjające warunki, których dziś już nie ma. Jest ona obliczona na pewną stabilizację gospodarstw skomasowanych, czego jednak nie można uniknąć

w warunkach obecnych, gdy brak jest ujścia dla narastającego zaludnienia. Przy istniejących stosunkach, już nowe pokolenie niweczy dzieło komasacji. Czyż nie jest złudzeniem szukanie trwałości gospodarczej w komasacji, przy tworzeniu 5—6 hektarowych gospodarstw, które rozbite zostaną przez narastające, a nie mające odpływu na zewnątrz gospodarstwa, nowe pokolenie? Dlatego też powiedziałem, że na skutki komasacji patrzysz jeszcze przez okulary stołypinowskie, czyli operuje się teoretycznymi przesłankami z czasów, kiedy to istniały warunki naturalne bogacenia się gospodarstw. Dziś te warunki nie istnieją. Rozpylanie drogą komasacji istniejących drobnych wiosek, bez stworzenia nowych form zespołowego życia i bez perspektywy tak zwanego dorabiania się rodzin włościańskich — nie jest dziełem obliczonym na większą trwałość, a staje się raczej gospodarczym paljatywem.

Oprócz tego, w związku z komasacją, chcemy podkreślić niektóre momenty. Otóż komasacja wywala wprawdzie jednostkę gospodarczą z krępujących więzów gromadzkiego życia i stwarza w poszczególnych wypadkach indywidualnie lepsze warunki gospodarcze — jednak niweczy jednocześnie i dodatnie cechy gromadzkiego życia, nie zastępując je jakąś nową formą. Wydaje się, że u nas przecenia się wartość samodzielności drobnorolnego gospodarstwa, jako jednostki ekonomicznej. W dzisiejszych zwłaszcza warunkach, przy narastających trudnościach ekonomicznych, „samodzielność” 5—10 ciu hektarowego gospodarstwa włościańskiego — jest bardzo problematyczna. W obecnych trudnych warunkach produkcji i zbytu — i wogóle w warunkach „techniki” dzisiejszego życia — taka mała, uboga przytem zaopatrzona, jednostka gospodarcza przestaje być naprawdę samodzielną. Potrzebna jest jej pomoc, którą znaleźć mogłaby w jakiejś wspierającej ją formie zespołowego życia. W przeciwnym bowiem razie utonie w zagmatwanych warunkach ekonomicznych, z którymi walczyć samodzielnie nie potrafi.

Z tego, co powiedziałem nie wynika, aby uznać komasację za coś już w naszych warunkach niepotrzebnego. Przeciwnie jest ona konieczną konse-

ształu”, Jeszcze koło brzegów można było słyszeć kipięcie i warczenie wody pod lodem, lecz środkiem po wezbranej mętnej wodzie szybko płynęły kryształowe kry, oblane blaskiem wiosennego słońca. Umiejętne zastosowanie odpowiednich porównań i przenośni czynią ten obraz żywym i wyrazistym. W „Nad Niemnem” Orzeszkowa oczyma Justyny ukazuje rzekę w coraz to innej postaci:

„Naprzód ciężkimi chmurami był podszyty, a z powierzchni wybuchając promienistymi ognikami światła i skrzydłami jaskółek umuskaną, — potem wzburzony, ponury wzdęte fale i białe piany toczący, z wlekaniami się w deszczowej zawieli żółtymi płyty i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze, po burzy, najczystszy błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadą atlasowych rybitew; teraz, pozornie nieruchomy, stał się on w dole wstęgą, na dwa podłużne pasma przeciętą; głęboko czarna pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemnostalową” (84, III)

Oto wygląd rzeki w czterech różnych postaciach: przed burzą, w czasie burzy, po burzy i wreszcie wczesnym wieczorem. Przedziwna gra światła i cieni oraz ruch czynią ten obraz żywym i plastycznym.

Naogół opisy przyrody u Orzeszkowej są nadzwyczaj malownicze, wykazują silnie rozwinięty u niej zmysł malarski. Lecz widoki, które podaliśmy przedtem, nie wywołują u niej uczuć podniosłych. W obrazach, w których na tle pól i lasów nadniemeńskich, kreśli poszczególne pory roku, aczkolwiek włożyła w nie autorka dużo artyzmu, niema jednak osobliwego odczuwania potęgi przyrody, ani też lirycznego wylewu uczuć. To ostatnie zachodzi jedynie i to w silnym stopniu, jak powiedzieliśmy, dopiero przy opisywaniu Niemna, który swą potęgą porywa za sobą duszę autorki, rozbudza w niej najgłębsze uczucia.

Wygląd Niemna daje również Orzeszkowa nocną porą w czasie malowniczego połowu motyli wodnych, zwanych jacią. W końcu lipca i na początku sierpnia każdego roku niezliczona ilość motyli wodnych wylatuje nocną porą nad powierzchnię rzeki. Owad ten dąży do światła i, tłumnie osiadając na rozmaitych przedmiotach świetlnych, prędko ginie. Jest on dobrą przynętą na ryby. Przeto ludność miejscowa tłumnie wyjeżdża nocą na czółnach na rzekę z zapalonymi ogniami, na które zlatują się roje motylów i osiadają w wodzie

kwencją układu stosunków. Życie w wiosce jest przeżycone taką masą rozmaitych anachronizmów i nabrzmiało szeregiem konfliktów, narastających z biegiem rozwoju przeludnienia, że komasacja staje się jedyną ucieczką od tego zła. Chciałem zwrócić jedynie uwagę na to, że nie należy szukać wyjścia z komplikacji agrarnych jedynie w komasacji, gdyż ona nie daje pod tym względem decydującego rozwiązania.

Wiosna nabrzmiała już wielkimi potrzebami. Milcząco oczekuje ona na jakiejś nowej formie, któreby zapewniły jej trwałe warunki rozwojowe. Niestety w dzisiejszych formach nie znajduje odpowiednika na swoje potrzeby. Nowej formy rozwojowej wsi trzeba szukać. Lecz którą ją odnajdzie? Czy wszechwładne dziś państwo, czy inicjatywa jakiejś „elity”, narzuconej tej wielkiej, niemej a nieskoordynowanej wiejskiej gromadzie? Czy wreszcie sama wiosna—systematycznie przyuczana do bierności—coś z siebie i dla siebie wytworzyć potrafi?

Nie mogę zakończyć swoich i tak przydługich rozważań nie potrącając jeszcze o jedną bolączkę. Pragnę podkreślić z naciskiem, że nietylko materialne czynniki należy brać pod uwagę, określając perspektywę wsi. W formowaniu nowych stosunków wiejskich, w szukaniu „nowej formy” rozwojowej wsi — odegrać będą musiały rolę również, a może przede wszystkim, czynniki „moralne”. Ktoś w wiosnę naszą będzie musiał poprowadzić, ktoś będzie musiał w gmatwających się warunkach drogę wytknąć.

Rzecz zrozumiała, że ten „ktoś” będzie musiał zdobyć tę wiosnę moralnie, zdobyć jej posłuch i zaufanie. Ci co dotychczas „robili we wsi” nie zdali egzaminu — wysiłki ich, hałaśliwe rozpoczynane, leżą w gruzach. Wiosna to widzi i rozumie, że przyjść musi bardziej rzetelną pracą. Tę twórczą pracę wiosny przyniesieć mogą ludzie ogarnięci wielką ideą, wyrosłą z soków tejże wiosny.

Losy naszej wiosny związane są z losami kraju i ściśle również zależą od układu stosunków politycznych. Gospodarcze zagadnienia, a w kraju tak wybitnie rolniczym jak nasz, głównie rolniczo-gospodarcze — wciąż się załamują i krzyżują z zagad-

nieniami politycznymi. Pod względem nastawienia polityki gospodarczej kraj nasz był przykuty do rydwanu centralistycznej koncepcji politycznej. Nie miał głosu w doniosłych zagadnieniach gospodarczych. Układano stosunki gospodarcze u nas pod jeden strychulec centralnej dyspozycji, nie koordynując ich z naszymi realnymi warunkami.

To wszystko powodowało masę błędów gospodarczych, których skutki dziś dźwiga zabiedzona wiosna. Zanim mało czynnym był kraj w formowaniu własnego bilansu gospodarczego. Na odcinku rolniczym przedstawia się on dziś ujemnie. W perspektywie rozwoju stosunków wiejskich te sprawy muszą być również widziane.

Rusticus.

Tragiczna katastrofa, jaka spotkała odważnych lotników litewskich po przebyciu przez nich oceanu Atlantyckiego, niemal u progu ojczyzny, wywołała ze strony „Kurjera Wileńskiego” piękny odruch gorącego i szczerego współczucia pod adresem narodu litewskiego.

Gdyby podobne objawy uczuciowe zdarzały się częściej można być pewnym, że przyczyniłyby się one skutecznie do wytworzenia atmosfery przyjaznej życzliwości, tak niezbędnej dla wszelkich poczynań porozumiewawczych pomiędzy Wilnem a Kownem.

Okazyj zaś do zmanifestowania uczuć serdecznych życie nasuwa przecież mnóstwo, co krok prawie. W życiu narodu litewskiego nie brak czynów i wydarzeń, zasługujących na wyrazy hołdu lub współczucia w stopniu nie mniejszym niż nieszczęśliwy wypadek, któremu ulegli dwaj bohaterscy lotnicy.

Atak na ostatnie pozycje.

Najważniejszym posunięciem władz szkolnych w Wilnie w stosunku do Białorusinów było usunięcie w końcu ubiegłego roku szkolnego długoletniego (bo aż od r. 1919) katechety gimnazjum biało-

Wówczas, jeszcze żywe, zbierają je do worków i odwożą do domu. Widok tonącego w nocnym mroku Niemna dźwigającego na sobie niezliczoną ilość poruszających się światła, naokoło których unosi się białą chmurą ąma wodna, jest nadzwyczaj malowniczy i nic dziwnego, że zwrócił na siebie uwagę autorki. Orzeszkowa przebywając w letnich miesiącach w miejscowościach nadniemenskich, miała możliwość niejednokrotnie naocznie obserwować opisywane zjawisko. To też w „Nad Niemnem” roztacza przed naszymi oczyma piękny obraz połowu jacycy, odbywającego się na tle szklanej tafli spokojnej rzeki. Oto opis unoszących się nad zapalonymi ogniami wodnych motyli:

„Lecz najdziwniejszym i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętym mnóstwem drobnych, jakby śniegowych, płatków osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogniów białą niby parą przyćmiewając”.

Niemen, jako najpiękniejsza rzeka ziem białoruskich, najpiękniej i najobszerniej został przez Orzeszkową odmalowany. Jej obszerny i malowniczy

obrazy tej rzeki, kreślone z serdecznym wylewem uczucia, wypływającego z głębokiego przywiązania do ziemi rodzinnej, nie mają sobie równych w literaturze polskiej. Zarówno pod względem umiejętności opisu, jak i stosunku uczuciowego, z obrazami Niemna Orzeszkowej mogą się równać malownicze opisy tej rzeki współczesnego poety i powieściopisarza białoruskiego Jakóba Kołasa.

Z innych miejscowości autentycznych daje Orzeszkowa w powieści „Ostatnia miłość” obszerny opis uzdrowiska w Druskienikach, tudzież wpadającej do Niemna rzeki Rotniczanki. W „Nizinach” wspomina o miasteczku Rudni oraz daje opis stacji kolejowej w Grodnie, zwanem w powieści „Ongrodem”. W obrazku p. t. „Za doliną róż” znajdujemy króciutki opis Świsłoczy, jednego z dopływów Niemna. W opowiadaniu p. t. „Gedali” wspomina Orzeszkowa o miasteczku Wołpie i Słonimie w Grodzieńszczyźnie położonych. Poza to w „Nad Niemnem” wspomina o autentycznym miasteczku Łunnie położonym w powiecie grodzieńskim.

Oprócz opisów Niemna i jego okolic, które w utworach Orzeszkowej mają charakter tła topo-

ruskiego w Wilnie, ks. Adama Stankiewicza. Nie będziemy tu jednak rozpatrywać ani genezy tej decyzji, ani formalności jej ogłoszenia, jakkolwiek niejedno dałoby się o tem powiedzieć. Nie interesuje nas nawet kwestja, czy jest to samorzutna decyzja Kuratorjum Szkolnego w Wilnie, czy też inspirowany przez dyrekcję gimnazjum krok władz szkolnych dla pozbycia się wielce niemiłej tak inspirowanym, jak inspiratorom jednostki, reprezentującej odrębny program akcji polityczno-kulturalnej. Przed laty na łamach tegoż „Przeglądu Wileńskiego” ukazało się ku niemiłemu oburzeniu bezwzględnych stronników ks. Stankiewicza kilka artykułów naświetlających mniej lub więcej krytycznie, acz życzliwie, niektóre punkty jego programu i niektóre metody jego akcji. Ten niezależny stosunek, obok wypróbowanej życzliwości, cechować też będzie artykuł niniejszy, w którym chcemy omówić niechybne następstwa zaszłej zmiany personalnej.

Czy jednak mamy tu i mieć będziemy do czynienia ot tylko ze zwykłą sobie zmianą jednej osoby na drugą? Ze zmianą, która nic a nic nowego z sobą nie wniesie i wnieść nie może? Czy nie zapowiada ona raczej wcale doniosłe przemiany, które siłą rzeczy będą musiały nastąpić w dalszem wychowaniu narodowo religijnem białoruskiej młodzieży katolickiej, uczącej się bądź w gimnazjum białoruskiem, bądź poza niem?

Rozpatrzymy tylko.

Usunięcie ks. Stankiewicza z katechety gimnazjalnej w Wilnie niewątpliwie ma wszystkie cechy *wyrzucenia*. Tak chyba zrozumie je wileński ordynariat arcybiskupi i to niezależnie od osobistych sympatyj lub antypatyj, tak napewno zrozumieją je inni księża Białorusini, kierując się uczuciem solidarności. Stanowisko katechety gimnazjum białoruskiego nigdy nie należało, a zwłaszcza po poczynionych doświadczeniach, nie należy do tych, względem których władza duchowna zechce skorzystać z przysługującej jej presji, by zmusić kogoś do jego przyjęcia. Więc czy znajdują się chętni do objęcia dziś posady, mniejsza już o to, że bardzo niewdzięcznej, lecz przedewszystkiem dość dwuznacznej,

a niepewnej w warunkach obecnych? (Minimalna liczba godzin lekcyj, zbiorowe wykłady, nieraz marne dlań lokalik, graniczący dosłownie z ustępem, nawet w warunkach skądinąd dobrych, nigdy nie będą atrakcją dla wykładowcy).

Nie można mieć pewności, że sfery kierownicze Kuratorjum i gimnazjum będą poprosto chciały mieć nadal katechetę narodowości białoruskiej. Jeśliby dyrekcja i chciała nawet, to czy podzieli jej stanowisko Kuratorjum, które zawsze znajdzie łatwą wymówkę w niewielkiej stosunkowo ilości uczniów i uczni katolików, by znieść poprosto stanowisko osobnego katechety i — całą białoruską młodzież wyzn. rz.-katolickiego poddać katechecie Polakowi, obsługującemu macierzyste gimnazjum im. Słowackiego? Unikając takich sytuacji dwuznacznych lub przynajmniej niewyraźnych, nikt dlatego *experientia teste*, nie kwapił się swego czasu na stanowisko katechety do przedwcześnie zmarłego utrakwistycznego seminarjum nauczycielskiego im. Fr. Bohuszewicza, gdzie w ciągu 2—3 lat uczył Białorusinów religiji po polsku wybitny ksiądz endek, notoryczny antagonistą mniejszości.

W najlepszym razie, t. j. gdy następcą ks. Stankiewicza zostanie jakiś ksiądz Białorusin, kuratorjum zapewne się nie zgodzi ze względu na chęć odseparowania białoruskiej młodzieży uczącej się od „niepożądanych“ wpływów b. katechety, — na uczszczenie jej do kościoła św. Mikołaja na mszę szkolną. Rzecz oczywista, że gościnność dla białoruskiej filij polskiego gimnazjum im. Słowackiego nie posunie się w *żadnym* kościele m. Wilna tak dalece, by pozwolić podczas mszy szkolnej na śpiewy białoruskie i takąż egzortę do młodzieży. Młodzież więc *białoruska* będzie musiała modlić się w języku *polskim*, biorąc udział w śpiewie wspólnym, słuchając egzort z steoretypową inwokacją: *Młodzieży polska!*; słuchać rekolekcji polskich, spowiadać się po polsku itd. itd. Więc ostrze zarządzenia wymierzone jest właściwie nie w ks. Stankiewicza, lecz w Boga ducha winną katolicką młodzież białoruską. W ten sposób odciągnie się, co nie jest żadną tajemnicą, większą część tego *quorum*, króre wykonywało u św.

graficznego, należy również zwrócić uwagę na opisy puszczy Białowieskiej w powieści „Ad Astra“, posiadające również wybitne cechy topograficzne.

Orzeszkowa, jak już była o tem mowa, zachwyca się przyrodą i daje rozległe jej opisy w powieściach jedynie w niektórych okresach swej działalności pisarskiej. Przyroda, jako czysta zjawia piękna, pojawia się u niej wówczas tylko, gdy aktualne zagadnienia społeczne nie grają w jej powieściach roli naczelnej, a zyskuje przewagę chęć artystycznego odtworzenia pewnego środowiska. Z tego względu w utworach Orzeszkowej przed rokiem 1883, za wyjątkiem powieści „Ostatnia miłość“, przyroda odgrywa rolę nikłą, jest tylko suchem i bezbarwnym tłem, wprowadzonym w miarę nieodzownej konieczności. Dopiero w powieściach osnutych na motywach wiejskich, w których aktualna tendencja schodzi na plan dalszy, przyroda odgrywa jedną z ról naczelnych i jest odmalowana z nakładem wielkiego uczucia autorki. Zaś po roku 1891, kiedy sfera zainteresowań pisarki ulega gruntownej zmianie, przyroda przestaje znowu być punktem większej wagi. Jednak i w tym późniejszym okresie ukazuje się jeden

utwór Orzeszkowej, w którym przyroda stanowi jeden z naczelnych motywów artystycznych. Utworem tym jest powieść „Ad Astra“, napisana w roku 1902.

Bezpośrednim powodem zwrócenia tak wielkiej uwagi w tym utworze na bogate obrazy natury i skreślenia ich z tak wielką siłą uczuciową była prawdopodobnie chęć przelania na papier swych wrażeń, pozyskanych w czasie pobytu w puszczy Białowieskiej. Jak wiemy bowiem z listu do prof. M. Zdziechowskiego, Orzeszkowa jeszcze w r. 1898 miała zamiar udania się do puszczy Białowieskiej, ażeby „ten kawał kraju i narodu przez żadne pióro jeszcze nietknięty do literatury wprowadzić“. Otóż wyjazd do Białowieży nastąpił znacznie później, a wrażenia, jakie wywołała u Orzeszkowej nawpół dzika i potężna przyroda puszczy, posłużyły za tło do powieści „Ad Astra“.

Mikołaja, przez cały rok szkolny, co niedziela i święto, białoruskie pienia religijne i dla którego wygłaszane tam były kazania białoruskie. Więc z drugiej strony stanie się wielka krzywda i strata z powodu zaprzepaszczenia tą drogą (celowo czy przypadkowo, w to nie wchodzę) cennej zdobyczy, która tyle kosztowała Białorusinów katolików! Język białoruski w kośc. św. Mikołaja przez tych kilkanaście lat rozlegał się i sięgał swym moralnym wpływem daleko poza mury tej historycznej świątyni. O korzystającej tu z gościnności Litwinów mowie białoruskiej wiedziały b. dobrze Rzym, Warszawa, Lwów Mińsk, Kowno, Praga... Wszędzie, gdzie jest 2—3 świadomych Białorusinów wiedziano o kościele św. Mikołaja w Wilnie. Dziś, ze zmianą osoby katechety gimnazjum białoruskiego, najpewniej zlikwiduje się u św. Mikołaja jednocześnie i białoruskie nabożeństwo dodatkowe. Czyżby ta myśl przyświecała inicjatorom usunięcia z gimnazjum ks. Stankiewiczza?...

Gdy w sposób powyższy wymierza się cios w dodatkowe nabożeństwo białoruskie dla katolików w archidiecezji wileńskiej, duchowieństwo prawosławne w osobie świeżo kreowanego prot. Kulczyckiego będzie jednak mogło w ciągu dalszym, bez żadnych przeszkód, przemawiać do białoruskiej prawosławnej młodzieży gimnazjalnej po białorusku.

Tak się stało, że faktyczny zamach na białoruski język w kościele św. Mikołaja w Wilnie zbiega się *primo* z obecną akcją słynnego kanonika J. Borodzicza pod marjańską Drują, mającego na celu oderwanie odeń wsi Malkowszczyzny (z przyległościami), gdzie ocalały jeszcze po dziś dzień kazania białoruskie, by spolszczyć ostatecznie lud tameczny; *secundo* z historyczną akcją wileńskiego „Słowa” przeciw jezuitce Albertynowi, gdzie mowa białoruska, choć niekiedy, rozbrzmiewa z kazalnicy cerkiewnej. Słowem, atak na całe linje.

Sympatyk.

Walka z rzeczywistością.

Młodzież endecka z pod znaku „Ruchu Młodych” nie może w żaden sposób zdobyć się na jednomyślność w sprawie białoruskiej. Niedawno jakiś młodzieniec wystąpił niespodziewanie w odcinku „Dziennika Wileńskiego” z twierdzeniem, że w Białorusinach należy uszanować ich odrębność kulturalną. Jak na endeka był to postęp nielada. Ale jedna jaskółka, jak wiadomo, wiosny nie czyni. D. 30 czerwca ukazał się na gościnnych łamach tegoż „Dziennika Wil.” artykuł przedstawiciela wszechpolskiej młodzieży akademickiej w Wilnie, przekreślający całkowicie pogląd, uznający Białorusinów za naród odrębny. Spotykamy tam takie kwiatki: „...koncepcja narodu białoruskiego nie ma żadnych podstaw realnych, gdyż państwo, mające być w przyszłości organizacją tego narodu, musiałyby ulec w zupełności wpływom albo sowieckim albo polskim”. Na innym miejscu tegoż artykułu czytamy, że inteligencja białoruska „wychowana musi być w ten sposób, aby mogła wpajać w szerokie warstwy Białorusinów zasadę, iż są oni prawdziwymi Polakami, którzy mówią nieco odrębnym językiem, jak Kaszubi czy Podhalanie”.

Nad argumentacją tego rodzaju możnaby

przejsć do porządku dziennego, gdyby autor nie ujawnił powodów, które go zachęciły do powtórzenia starych, ogranych melodyj. Mianowicie, artykuł zaczyna się od zagadkowej wiadomości, że w Ognisku Akademickim niedawno miało miejsce wystąpienie pewnego Białorusina akademika, wystąpienie, które „nie nadaje się do opisanie”. Z tego nieopisanego faktu autor raptem dochodzi do wniosku, że „jeżeli polityka narodowościowa nie zmieni dotychczasowego kursu względem kwestji białoruskiej, to konsekwentny rozwój wypadków przyniesie nam takie fakty, jakie widzimy na terenie Małopolski Wschodniej w rodzaju wyczynów Danyłyszyna w Gródku Jagiellońskim”. Cóż takiego niezwykłego zdarzyło się w Ognisku Akademickim? Zamach? Bomby białoruskie?

Nic podobnego.

Nie było żadnych bomb ani groźnych zamachów. Była w Ognisku tylko niewielka sprzeczka na gruncie zagadnień narodowościowych pomiędzy Rosjaninem, a Białorusinem, który w pewnym momencie tej sprzeczki odprowadził kolegę na stronę i zapytał stanowczo:

— A więc istnieje naród rosyjski?

— Tak niewątpliwie.

— Bardzo pięknie. A białoruski?

— Niema żadnych Białorusinów.

W tem miejscu Rosjanin poczuł bardzo przekonywujący i namacalny argument na własnym policzku. Tak wyglądało zajście według relacji naczynego świadka. Tak wygląda fakt „nie do opisanie!”

Nie można pochwalać metod akademika Białorusina, zdarzają się jednak ludzie tak niewrażliwi na rozumowe argumenty, tak dokuczliwi w swojej tępotie i zaślepieniu szowinistycznym, że utrata równowagi ze strony młodego studenta białoruskiego jest całkiem zrozumiałą. Jeżeli się teraz zważy na wywody autora artykułu z „Dz. Wil.” — należy stwierdzić, że poza argumentem pięści, żadnych innych on nie uznaje na równi z owym bronionym przez się studentem rosyjskim. Dlatego też artykuł jego do polemiki nie nadaje się.

Endecja w upraszczaniu zagadnienia białoruskiego oddawna tak już daleko zaszła, że jej najniedorzeczniejsze w tej sprawie stanowisko nikogo dziwić nie może. Dziwniejszem jest, że wpływom jej ulegają również kierownicy placówki kulturalno-oświatowej, za jaką chce uchodzić Radio Polskie w Wilnie.

Jak wiadomo, rozgłośnia wileńska w pierwszych miesiącach swego istnienia nadawała nawet audycje w języku białoruskim. Później nietylko je usunięto, ale w miarę możliwości unikano nawet samej nazwy Białoruś, o czym już „Przegląd Wileński” w swoim czasie wspominał.

Obecnie radio jaskrawo zmanifestowało swoje antybiałoruskie stanowisko.

D. 30 czerwca b. r. (jakaś fatalna data!) wschodząca widocznie gwiazda nauki wileńskiej pod nazwiskiem Bronisława Aleksandrowicza poddała do wiadomości miastu i światu przez wszystkie rozgłośnie polskie, że w granicach obecnych państwa polskiego Białorusinów być nie może, bo i samej Białorusi czy jej części niema. Jest natomiast Ruś Czarna. A to przecież co innego. By nie być gołosłownym, p. Aleksandrowicz sięgnął do lamusa historycznych argumentów i odrazu bezapelacyjnie wymazał z mapy Polski Białoruś. Zdaniem jego termin Białoruś w przeciągu dziejów jest bardzo nieokreślony

i płynny ze Wschodu na Zachód. Tak naprzykład według Aleksandra Gwagnina autora „Sarmacji Europejskiej” wydanej w roku 1581 Ruś Białą utożsamia się z księstwem moskiewskim. W kronice tegoż autora z roku 1611 Biała Ruś ma się znajdować około Kijowa, Mozyrza, Mścislawia, Witebska, Orszy, Smoleńska, Połocka i Siewierska. Według słownika Lindego „Ruś pod kniazem moskiewskim Białą Rusią nazwano, a tę która do Polski należała—Czarną”. Dalej, pamiętniki czasów porozbiorowych mówią, że Ruś Czarna to Nowogródek, Stonim, Wołkowysk, Nieśwież, Słuck, Kleck, Rzeczyca, Bobrujsk. A więc niema Białorusi w granicach dzisiejszej Polski. Odczyt ten uznano za tak „poważny”, że tygodnik „Radjo” podał go w streszczeniu.

Ameryki oczywiście p. Aleksandrowicz nie odkrył. Wszystko to są rzeczy znane i oświetlone jednostronnie. O pochodzeniu i znaczeniu nazw „Białoruś”, „Białorusini” pisano już dużo i gruntownie. Wywody p. Aleksandrowicza nie wytrzymują krytyki naukowej.

Co się tyczy przejściowego, małożnanego i obumarłego dziś terminu Czarnej Rusi, chodzi tu autorowi najprawdopodobniej o ustalenie odmiennego typu mieszkająca dawniej „Rusi Czarnej” w stosunku do Białorusinów dzisiejszej Białorusi Sowieckiej. Sądzi widocznie p. Aleksandrowicz, że ze zmianą nazwy—zmieni się i treść, a Białorusini zamieszkujący dziś w granicach państwa polskiego zostaną oderwani od swojej narodowej całości, przyjmując nazwę „Czarnorusinów” jako narodu odrębnego.

P. Aleksandrowicz wyraźnie tego nie powiedział, taki jednak wniosek należałoby wysnuć z wywodów prelegenta. Jeśli tak jest, można powinszować mu odkrycia nowego narodu.

Pobożnym życzeniom p. Aleksandrowicza, no i kierownictwa rozgłośni wileńskiej jednak nie stanie się zadość. Nic na to nie poradzi nawet historia stosowana. Białorusini przedstawiają dziś naród zbyt jednolity językowo i kulturalnie, by przypadkowe, nienaturalne granice ryskie oraz tendencje polonizatorskie były w stanie go podzielić na osobne plemiona. Rzeczywistość pozostanie zawsze najbardziej miarodajną.

Czy p. Aleksandrowicz na spółkę z p. Hulewiczem będzie Nowogródzczyznę i Grodzieńszczyznę nazywał kresami, Białopolską, czy Czarnorusią, od tego, poza pogłębianiem chaosu nazw geograficznych, nic się nie zmieni, ponieważ wywody i tendencje obiecującego „uczonego” nie wiele odbiegają od poziomu argumentów, którymi się posługują wszechpolacy i ich wileńscy pupile z pod znaku Ruchu Młodych. Zmienić się może najwyżej jeszcze bardziej na gorsze stosunek abonentów radja do jego dyrektorów, uprawiających w eterze politykę lichego gatunku.

Al. S.

Rewizja bez rezultatu.

(Przyczynek do życiorysu biskupa Wołoncewskiego).

W artykule „Ks. A. Mackiewicz i stosunek doń biskupa Wołoncewskiego” („Przegląd Wil.”, Nr. 7—8 b. r.) było już zaznaczone, że biskup Wołoncewski był źle widziany przez rząd rosyjski i stałe podejrzewany o działalność antypaństwową. Poniższy przy-

czynek, wydobyty z Archiwum Państwowego w Wilnie, wskazuje, że nieufność władz rządowych do biskupa żmudzkiego trwała przez czas długi po uśmierzeniu powstania i przybierała w pewnych momentach nawet formę drastyczną.

Z przechowanych w wileńskim Archiwum Państwowym dokumentów Kancelarii Generał Gubernatora dowiadujemy się, że w r. 1870 na wniosek komisji śledczej do spraw politycznych, opierającej się na doniesieniu ks. Dębskiego, gen. gubernator Potapow polecił gen. majorowi żandarmerji Łosiewowi dokonać rewizji w mieszkaniu biskupa Wołoncewskiego w Kownie i na wypadek potwierdzenia doniesienia ks. Dębskiego poddać biskupa surowemu nadzorowi policji aż do dalszego rozporządzenia.

O wykonaniu przez siebie polecenia gen. gubernatora gen. Łosiew złożył następujący raport datowany z d. 14 grudnia 1870 r.

„Powołując się na rozkaz gen. gubernatora raportuję, że przybywszy do Kowna udałem się wprost do mieszkania gubernatora i z nim się porozumiałem. Ustaliliśmy, że dla uniknięcia rozgłosu należy przeprowadzić rewizję nie naruszając niczyjego spokoju, lecz ściśle podług przepisów prawa po ukończeniu rannego nabożeństwa, a przed początkiem wieczornych modłów w kościołach. Jako świadków zaprosiłem wice gubernatora kowieńskiego i dyrektora kancelarii gubernatora, a dla pomocy delegowano policmajstra.

„Z początku udałem się do biskupa Wołoncewskiego z wice-gubernatorem jak gdyby z wizytą. Potem jednak po przybyciu dyrektora kancelarii i policmajstra, oświadczyłem wręcz Biskupowi, że jestem zmuszony przejrzeć jego dokumenty. W pierwszej chwili widocznym było, że Biskup się zmieszał, potem jednak zażądał ukazania mu rozkazu na przeprowadzenie rewizji, co musiałem spełnić, dając mu go do odczytania. Przy czytaniu tego rozkazu Biskup półgłosem zauważył: „eto wsio podłyje ksiendziszki”. W końcu powiedział: „Proszę przeglądać, nic nie mam”.

„Istotnie przy najbardziej dokładnej rewizji w całym mieszkaniu nie znaleźliśmy nietylko nic zdrożnego pod względem politycznym, lecz nawet żadnych wogóle dokumentów i ani jednego listu. Biskup Wołoncewski poinformował nas, że wypływa to stąd, iż ma zwyczaj niszczenia wszelkich listów i nawet bruljonów, z wyjątkiem rządowych dokumentów i papierów, które znajdują się w kancelarii. Rozstałem się z biskupem Wołoncewskim w najbardziej przyjacielskich stosunkach. Proponował mi jeszcze przekąskę i szampan, lecz odmówiłem, obiecując, że kiedyindziej przyjadę umyślnie, aby go odwiedzić.

„Wyjaśnienie biskupa Wołoncewskiego w sprawie dokumentów zmusiło mnie do zwrócenia się do gubernatora kowieńskiego z prośbą o przeprowadzenie rewizji u sekretarza Biskupa ks. Borowskiego i tam był delegowany sztabs-kapitan Martynow. Dokumenty zabrane przy rewizji po większej części w języku żmudzkiem, przesłane zostały Komisji Śledczej. Równocześnie pułk. Biryn dokonał rewizji u kanonika Raczkowskiego i dokumenty jego również skierowałem do Komisji”.

Rewizja więc u biskupa nie dała, jak widzimy, żadnych rezultatów, a zapewne w papierach, zabranych u sekretarza konsystorza ks. Borowskiego i rektora seminarjum ks. Raczkowskiego, Komisja

nie znalazła również nic kompromitującego, gdyż sprawa nie miała dalszych konsekwencji.

*

W pewnym związku z osobą biskupa Wołoncewskiego pozostaje sprawa wydalenia z Kowna biskupa sufragana Bereśniewicza, o której znajdujemy relację w kopji z pisma ministra spraw wewnętrznych do gen. gubernatora Potapowa, przechowanej w temże Archiwum Państwowem.

Pismo to brzmi, jak następuje: „Stosownie do wniosku W. Ekscelencji referowałem Cesarzowi o wydaleniu z Kowna biskupa sufragana telszewskiej diecezji Bereśniewicza, żeby unicestwić jego szkodliwy wpływ na diecezjalnego biskupa Wołoncewskiego i miejscowy rzymsko katolicki konsystorz.

„Cesarz zauważył, że niema żadnej potrzeby, by przebywało w Kownie 2 biskupów katolickich jednocześnie, jednakże zważywszy, że nie jest wskazanem, po wysłaniu kilku katolickich wyższych duchownych, uciekać się do podobnych represyj, raczył wyznaczyć m. Mitawę, znajdującą się w obrębie tejże diecezji, jako miejsce stałego zamieszkania biskupa sufragana Bereśniewicza, ze zwolnieniem go od obowiązków oficjała telszewskiego konsystorza i z ustanowieniem nad nim na nowem miejscu pobytu tajnego policyjnego nadzoru”.

Doble.

Gorszące widowisko.

Być w zgodzie z literą prawa, mieć po swojej stronie komorników i sekwestratorów — to jeszcze nie znaczy mieć za sobą opinię publiczną. Tej prostej prawdy nie rozumie widocznie wileńska kapituła, której przedewszystkiem chyba powinno zależeć na autorytecie moralnym.

Świadczy o tem następujący nader charakterystyczny fakt. Dnia 10 lipca b. r. komornik na podstawie wyroku sądu i przy pomocy stróżów sąsiednich kamienic kapitulnych, wyrzucił na bruk całe urządzenie artystycznej pracowni rzeźbiarskiej znanego i zasłużonego w Wilnie artysty Rafała Jachimowicza wraz z dziełami sztuki za nieopłacenie zaległego komornego.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że w naszych smutnych czasach nie jest to żadna sensacja. Podobne eksmisje są na porządku dziennym. Obok jednak wielkiego podobieństwa nie trudno dostrzec ogromną różnicę.

Użytkownik domu kapitulnego przy zaułku Bernardyńskim Nr. 4 ks. kanonik Cichoński, osobiście zainteresowany w eksmisji, „zapomniał”: 1) że p. Jachimowicz na własny koszt z kompletnie zrujnowanego, do niczego nienadającego się składu zrobił zdatną do użytku pracownię, 2) że p. Jachimowicz zajmuje lokal od wielu lat i płacił akuratnie, 3) że obecna zaległość w niewielkiej sumie wynika wskutek bezrobocia artysty, oraz podwyższenia komornego przez ks. Cichońskiego w chwili, gdy się ceny na lokale obniża.

Jeżeli się teraz zważy w dodatku, że p. Jachimowicz zwracał się do arcybiskupa z prośbą o in-

terwencję w sprawie odroczenia eksmisji, przyczem powoływał się między innymi i na ten wzgląd, że dokonywał bezinteresownie prac dla kościoła na zlecenie ks. arc. Jałbrzykowskiego — cała sprawa nabiera bardzo niekorzystnego zabarwienia dla tych, którzy powołani są świecić przykładem szerokiemu ogółowi. Nic też nie pomogła prośba do arcybiskupa w tej sprawie ze strony związku malarskiego.

Podwórcze przy zaułku Bernardyńskim Nr. 4 przedstawia widok niesamowity. Olbrzymie posągi z gipsu, pomniejsze figury, książki i rzeczy giną pod działaniem deszczy. Na pierwszym planie, na tle tej osobliwej wystawy dominuje wymowny napis: „Tak wygląda akt Akcji Katolickiej w praktyce użytkownika tego domu ks. kanonika Cichońskiego”. Przechodząca chodnikiem publiczność ogląda to gorszące naprawdę widowisko i niepochwlebnie komentuje bezwzględność kapituły. Pod adresem ks. Cichońskiego padło kilka uszczypliwych uwag również ze strony „Słowa”.

Sprawa nabiera posmaku skandalu. Wyeksmiowano zasłużonego dla Wilna artystę, jego prace ulegają zniszczeniu i niema w Wilnie ani jednostki ani organizacji, któraby udzieliła pomocy w tak krytycznej chwili. Chcemy jednak wierzyć, że ktoś się znajdzie. Kto wie, może władze duchowne spostrzegą swój błąd, choć już jest nieco po czasie. Ale lepiej późno, niż wcale. W przeciwnym wypadku miałby rację ten, ktoby mówił, iż kryzys materialny p. Jachimowicza wypadł jednocześnie z kryzysem moralnym niektórych naszych dygnitarzy duchownych.

Step.

Druga konfiskata.

Nr. 11—12 „Przeglądu Wileńskiego” został skonfiskowany za artykuł p. t.: „Niewłaściwy duch w niewłaściwych lokalach”.

Część prenumeratorów otrzymała drugi nakład tego numeru (Nr. 11—12a), z którego został usunięty skonfiskowany artykuł.

Wydawnictwo T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich

J. GOŁĄBEK

„WINCENTY DUNIN-MARCINKIEWICZ”

Poeta polsko-białoruski

Cena 5 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.